

Lilly wróć! - kiedy zaginie kot

"Żadne niebo nie będzie niebem, jeśli nie powitają mnie w nim moje koty!" / "Bezdomnym zwierzętom los podarował jedynie smutek, cierpienie i tęsknotę. Zazwyczaj są głodne, często jest im zimno, a czasem chorują. Z braku leków, szczepionek... umierają..." (ze strony koty.sos.pl)

Rok temu, 19 października 2011, zaginęła nasza kotka, Lilunia, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją znaleźć, szukała jej nawet policja... Niestety... Ponieważ nie ma żadnej przesłanki na to, że nie żyje, szukamy jej nadal... Może ktoś ją przygarnął? Może i jemu zaginie? Sprawdzam wszystkie informacje, mamy nadal nadzieję... A tu o poszukiwaniach Lill i kotów ogólniej (napisane po ok. 3 tygodniach doświadczenia w poszukiwaniach):

Tak, tytuł absolutnie nieprzypadkowo nawiązuje do znanej wszystkim z dzieciństwa chwytającej za serce książki (czy którejś z jej ekranizacji) "Lassie wróć". Tytuł "Lilly wróć" ma wywołać podobne uczucia. Lilly, to moja (nasza, moja i mojej młodszej siostry) kotka. Lilly zaginęła we wtorek 19 października, nie wróciła jak zwykle ze swej zwykłej nocnej eskapady. Jej brat Billy wrócił, ona nie. Nie ma po niej najmniejszego śladu. Nikt nie widział, nie zgłosił nigdzie zabitego kota. Wykonałam wszystkie telefony, które w takim wypadku należy wykonać, na policję, do straży miejskiej, do firmy "KABAN" zajmującej się (dzikimi, lub dziko żyjącymi) zwierzętami, do ZIKiT-u (Zarządu Infrastruktury Komunalnej i Transportu) zajmującego się m.in. usuwaniem ciał martwych zwierząt. Obdzwoniłam bliższe i dalsze lecznice zwierząt, gabinety weterynarzy... Regularnie dzwonię do Schroniska i TOZ-u, schronisko już dwukrotnie odwiedziłam... Wszystkie okoliczne ulice wielokrotnie przeszukane, każdy sąsiad zawiadomiony, wielu przepytanych, ogłoszenia wiszą w wielu miejscach, tak w świecie rzeczywistym jaki i wirtualnym, kilka fałszywych śladów sprawdzone... śladu po Lilly. Szukamy! Dopóki nie ma pewności, że nie żyje, szukamy. Jeśli żyje, gdzieś przecież jest. Nie zdematerializowała się, nie rozplynęła w powietrzu. A jeśli gdzieś jest, musi się znaleźć!

Tylko czy musi? "Wiele bezdomnych kotów miało kiedyś swoje domy..." - zaczyna się instrukcja w internecie zatytułowana "kocia_stronka.republika.pl/zaginiecie". Co robić, gdy zaginie kot?... Jak go szukać?... Gdzie szukać pomocy?... O tym jest ta strona. Ale też o poczuciu bezradności, o tym, że w gruncie rzeczy nie ma w Polsce skutecznej infrastruktury systemowo metodycznie wspomagającej zrozpaczonych właścicieli zaginionych psów i kotów w znalezieniu ich pupili. W internecie jest wiele stron, gdzie można wrzucić ogłoszenie, ale im więcej stron, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś przeczesze je wszystkie, żeby sprawdzić, czy aby nie widział, czy też nie przygarnął czyjś zwierzęcia. Nie ma ogólnopolskiej bazy choćby dla zaczipowanych psów i kotów, choć tych jest ciągle niewiele. Nie ma z powodu obowiązku ochrony danych osobowych, jak tłumaczyła mi (bardzo miła i życzliwa) pani ze Schroniska dla Zwierząt w Krakowie. Kiedy w roku 2006 wyrabiałam paszport UE dla mojego psa, żeby mógł ze mną jeździć po Europie, nasz lekarz-weterynarz dodał: "Ale niech się pani nie cieszy, że się znajdzie, bo jest zaczipowany, gdyby się zgubił. W Polsce nie ma bazy, w której dałoby się doszukać adresu właściciela zaczipowanego zwierzęcia. No, chyba że trafi do mnie..." Owszem, zwierzęta przechodzące przez Schronisko są czipowane, ale tylko Schronisko ma te dane. Jeśli zagubione zwierzę trafi ponownie do tego samego schroniska, to można je zidentyfikować na podstawie nr czipu zanotowanego w bazie danych schroniska, jeśli nie, to nie.

Bezskuteczne jak na razie poszukiwania Lilly, to czas pełen nowych doświadczeń. Dobrych i złych. Najlepsze to to, że wielu ludzi ze zrozumieniem i współczuciem odnosi się do osoby poszukującej swojego zwierzęcia. Zdecydowanie najgorsze to to, że choć rozwiesiliśmy wraz z siostrą wiele ogłoszeń, to na ogłoszenia w tych miejscach, w których takie ogłoszenie byłoby najskuteczniejsze, czyli widoczne dla wielu ludzi, praktycznie nie ma specjalnych miejsc. Owszem, zgadzają się lekarze-weterynarze i właściciele sklepów zoologicznych, czasami też jakiś właściciel małego prywatnego sklepu... i to tyle. Na przystankach tramwajowych i autobusowych nie wolno wieszać żadnych ogłoszeń (pod karą z art. 63A Kodeksu Wykroczeń Dz. U. nr 44/83 poz. 203). Na okrągłakach na plakaty nie wolno, bo są prywatną własnością. Na słupach jakichkolwiek też nie wolno. Na płotach nie wolno. I na murach nie wolno. Na drzewach też pewnie nie, choć na drzewach nie ma zakazów... W instrukcji na

wspomnianej stronie czytam: "Ogłoszenia należy porozwieszać gdzie się da: w pobliskich klatkach schodowych i/lub osiedlowych słupach ogłoszeniowych; we wszystkich okolicznych - oczywiście po uzyskaniu pozwolenia - sklepach, szczególnie tych małych, spożywczych, warzywnych, zoologicznych; koniecznie w pobliskich (i dalszych) lecznicach weterynaryjnych; na przystankach autobusowych (ale ciii... bo to nielegalne, jednak jest to miejsce w którym wiele osób się spotyka i czekając na autobus - czyta ogłoszenia)"...

Na przystankach, ale "ciii... bo to nielegalne"? Więc pytam, dlaczego jest nielegalne? Dlaczego mam robić coś nielegalnego, skoro powinno być całkiem po prostu legalne jako oczywiste? Dlaczego ciągle mamy do czynienia z niezyciowymi przepisami i ich omijaniem? Dlaczego w miejscu, gdzie ludzie stojąc i czekając na tramwaj czy autobus nie mogą sobie poczytać różnych drobnych ogłoszeń? Choćby dla zabicia czasu? Dlaczego jest to "wykroczeniem"? Na przystankach często widzimy przewalające się kosze na śmieci, zdewastowane ławki, rozbite przeszklenia... ale ogłoszenie o zaginionym kocie razi czyjeś poczucie estetyki? Czy wrodzoną praworządność? Przecież to jest robieniem sobie samemu kuku! Ile jest przystanków autobusowych i tramwajowych w Krakowie? A ile w całej Polsce? Ile pieniędzy kosztowało w skali całej Polski wydrukowanie (na specjalnej odpornej na deszcze plakietce) i rozwieszenie zakazów wywieszania ogłoszeń? Nie lepiej byłoby zamontować specjalne tablice, żeby właśnie można było wieszać różne drobne ogłoszenia? To samo w wielkich sklepach! Często są tam tablice na ogłoszenia sklepu, ale nawet jak są puste miejsca (sic!), kierownictwo sklepu nie zgadza się na powieszenie ogłoszenia o zaginionym kocie. Nie bo nie! NIE WOLNO! W PRL-u najczęściej używanym zwrotem było "NIE MA!" Teraz jest "NIE WOLNO!"

31 października wybrałam się na cmentarz Rakowicki. Nie tylko w celu odwiedzenia grobu dziadków i rodziców, ale także w celu rozwieszenia ogłoszenia o poszukiwaniach Lilly, a nuż?... Nie, nie na cmentarzu. Na słupie od ulicznej lampy w pobliżu przystanku tramwajowego (przecież nie na samym przystanku!). Zaczęłam też przyklejać ogłoszenie na słupie ogłoszeniowym, kiedy podszedł do mnie strażnik miejski i wygłosił swoje "Tu nie wolno!"... i to takim tonem, że już czułam, jak za chwilę wyląduję w lochach o chlebie wodzie. Ale że straż miejska ma być na moich usługach a nie ja na jej, więc pytam grzecznie: "Dobrze, tu nie wolno. Ale zdarzyło mi się nieszczęście, zaginęła mi kotka, gdzie więc mogę powiesić ogłoszenie? Proszę mi pomóc!" Jakież było moje zdziwienie, gdy usłyszałam, że na przystanku tramwajowym! Dałam za wygraną i pospacerowałam na cmentarz, żeby na rodzinnym grobie zaświecić znicz i położyć skromną wiązanekę. Skromną, bo przecież kradną... Chociaż może nie przy tej ilości straży miejskiej? Gdy wróciłam na przystanek, mojego ogłoszenia na lampie już nie było... Żeby było śmieszniej, kiedy reszta mojej rodziny dzień później odwiedziła nasz grób, nie było również mojej wiązaneki... Jednak straż miejska nie upilnowała!

Zachowanie straży miejskiej zdumiało mnie najbardziej! To tak wygląda współpraca z obywatelem? Wspieranie go w jego nieszczęściach i kłopotach? To ja sobie zadaję tyle trudu, żeby porozwieszać jak najwięcej ogłoszeń, żeby zmaksymalizować skuteczność poszukiwań, a straż miejska to niweczy? W imię czego? Żle rozumianego poczucia porządku?! Przecież najskuteczniejsze w znalezieniu kota czy psa są właśnie porozwieszane w różnych miejscach ogłoszenia! Na wszystkich tych forach, gdzie ludzie wymieniają sobie swoje doświadczenia z poszukiwaniem zaginionego zwierzęcia wszyscy zgodnie podkreślają, że największa nadzieja jest w ogłoszeniach... że wiadomość dotrze do właściwej osoby, tej, która widziała mojego kota lub która wręcz przygarnęła go i jeśli nie dowie się, do kogo kot należy, to umarł w butach. Dałam wprawdzie ogłoszenie do Radia Kraków, ale to już jest sprawa zupełnie beznadziejna, za 4 kilkunastosekundowe anonse zapłaciłam 123 zł, czyli tyle, ile za zwykłą reklamę, bo zaginięcie zwierzęcia nie podpada pod "wydarzenie losowe". Żeby choć nieznacznie zwiększyć prawdopodobieństwo dotarcia do tych właściwych uszu, ogłoszenie musiałoby być przynajmniej dziesięć razy częściej emitowane... za 1230 zł... o ile ten ktoś słucha radia w ogóle a w szczególności akurat tego radia.

Zadzwoiłam też do Gazety Wyborczej... cotygodniowa kolumna przeznaczona kiedyś na ogłoszenia o zaginionych/znalezionych zwierzętach już od dobrych kilku lat nie istnieje. Dlaczego? Koszty! Z rozmowy z dziennikarką TVP Kraków Magdaleną Hejdą prowadzącą program o zwierzętach (w którym sama w roku 2006 wypowiadałam się na temat konieczności sprzątnięcia po naszych psach) wynikało to samo, czas na tę tematykę został mocno zredukowany... Kościół także nie poczuwa się do wspierania akcji znalezienia zagubionego

zwierzęcia. Ogłoszenia przyklejane przeze mnie w okolicy dwóch najbliższych mi kościołów, kościoła przy Młynówce Królewskiej między ulicami Wesele i św. Wojciecha oraz kościoła pw. NMP z Lourdes znikają jeszcze szybciej, niż je przyklejałam. Bo i czegoż ja chcę? Gdyby Kościół obchodził los zwierząt, to w tych regionach kraju, gdzie KK ma największe wpływy, czyli na wschodzie Polski, zwierzęta miałyby się najlepiej. Jak wiadomo, jest wręcz przeciwnie!

Zrobiłam także doświadczenie, które skończyło się na policji. 1 listopada pod wieczór nagle wspaniała wiadomość, SMS a w nim długo wyczekiwana informacja, że ktoś ma naszą kotkę! To na pewno ona! Znaleziona tam, gdzie mieszkamy, wygląda jak na zdjęciu z ogłoszenia. Nawet na imię reaguje! Pędzimy z siostrą z koszem na koty na spotkanie z naszą zgubą... Ale kolejne i kolejne SMS-y zamieniają się li tylko w próbę wywiedzenia nas w pole i wyłudzenia nagrody... Przeżywamy dwie i pół godziny narastającego horroru. Po powrocie do domu decyduję się na powiadomienie policji o całym zajściu. Przesłuchanie i spisanie tych wszystkich SMS-ów trwa do północy. Potem jadę z policją pokazać, gdzie się odbywało... Nikogo. Ciemno. Pusto. Głucho. Umawiam się z policją na 6 rano. Może o świcie coś więcej dostrzeżemy? Tylko co? Czającego się w krzakach rozbójnika? Niczego nie dostrzegamy, zimno, mgliście, pierwsi ludzie wychodzą z domów do pracy, nikt nic nie wie... Muszę jednak przyznać, że cały posterunek nr 4 w Krakowie naprawdę się starał. Na poszukiwanie kota ruszyły w nocy trzy radiowozy! A meldunek o niedoszłym rozboju po przebyciu drogi przez przewidziane procedurą biurka trafi do prokuratury. I jeśli uda się ustalić właściciela komórki?... Niech mu dadzą popalić!

Tymczasem sprawdzamy każdy kolejny trop, poznajemy coraz to nowych ludzi, coraz to nowe koty, coraz nowe kocie historie... Wczoraj znowu szybka wizyta w azylu, późnym wieczorem robimy przegląd nowoprzybyłych kotów, bo ktoś zadzwonił, że oddano tam właśnie burą kotkę podobną do mojej. Podobną, ale nie moją. Kotka miauczy i łasi się. Z ciężkim sercem zostawiam ją w jej klatce. Inne koty kulą się w swoich. Dużo jest wśród nich maleństw wyłapanych na działkach. Rodzeństwa siedzą razem w jednej klatce. Tulą się do siebie. Mrużą osłepione nagłym światłem oczka. Skarżą cichutko. To właśnie takie działkowe rodzeństwo trafiło do naszego domu latem 2009 roku. Z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami z ulicy Floriańskiej. Dwa dzielne tygryski, Billy i Lilly. Z certyfikatem o adopcji większym od nich. Billy zwany zwykle Bilusiem ma złamany czubek ogonka, który dzięki temu wygląda jak zawadiacki pióropusz. I daje się nawet po ciemku wyczuć pod palcami. Lilly czyli Lilka, Lilunia nie ma żadnych znaków szczególnych. Oprócz tego, że cała jest szczególna. To ona nauczyła się otwierać klamkę od drzwi na balkon. Stając na dwóch łapkach na parapecie okna pochyla się nad klamką i eleganckim ruchem naciska klamkę od drzwi balkonowych. Z jednej i z drugiej strony. Biluś opanował tę sztukę tylko w jedną stronę, z zewnątrz. Żeby wydostać się z mieszkania, uderza łapkami w szybę okna. Trzeba mu otworzyć.

Koty wychodzące to oczywiście zaprogramowane ryzyko, zawsze może się stać coś nieprzewidywalnego. Z drugiej strony to koty dające sobie radę w zewnętrznym świecie. To koty żyjące swoim kocim życiem, broniące swojego terytorium, łażące po płotach i drzewach, buszujące po ogródkach nocą, znające wszystkie pory roku i wszystkie pogody... Nieraz przychodziły przemoczone nagłą ulewą czy zmarznięte na mrozie tajały na kaloryferach mrużąc na potęgę jak nakręcane bączki... Z trzeciej strony koty wysterylizowane, wykastrowane nie oddalają się zbyt od domu, nie ruszają na poszukiwanie miłości. To zmniejsza niebezpieczeństwo. Billy i Lilly nie dostały obróżek z obawy, że mogą się gdzieś zahaczyć. Dopiero teraz, przy okazji poszukiwań Lilly, dowiadujemy się o obróżkach bezpiecznych, samootwierających się, jeśli kot się szarpie. Na obróżkach jest miejsce na nr telefonu. Jaka szkoda, że wiemy o tym dopiero teraz! Billy już nosi taką obróżkę. Wygląda dorosłe i dostojnie. Obróżka Lilly czeka na swoją zagubioną właścicielkę. Przecież kiedyś się znajdzie! Musi!

Tylko czy musi? Że powtórzę gnębiące mnie pytanie. Doświadczenia zebrane w czas poszukiwań Lilly są dwojakiej natury. Jest wielu ludzi naprawdę kochających zwierzęta, przejmujących się ich losem, dzwonią, dopytują się, informują, czasami wielokrotnie. To buduje. Z drugiej strony martwi mnie brak ogólnej świadomości, że los naszych zwierząt świadczy o nas. Że bezdomne zwierzęta i warunki, w jakich przyszło im egzystować, to nie jest problem miłośników zwierząt, to problem całego społeczeństwa. Że przepełnione schroniska dla zwierząt, to nie margines życia, a samo życie. "Wciąż nie uświadamiamy sobie dość wyraźnie, że jesteśmy częścią świata przyrody i że powinniśmy okazywać jej więcej szacunku.", mówi pani filozof Maria Szyszkowska. Wczoraj w schronisku dla

zwierząt opowiedziała mi oprowadzająca mnie młoda kobieta, że jedna z lekarek schroniska też niedawno zrobiła to doświadczenie ze zrywaniem ogłoszeń o zaginionym kocie. Kot był bardzo charakterystyczny, jednooki (pracownicy schroniska często biorą do swoich domów kalekie zwierzęta, bo te mają mniejsze szanse na adopcję). Zaginał i jego pani zaczęła rozwieszać ogłoszenia o zgubie. Ale co rozwiesiła, to znikало. Płakać jej się chciało, gdy znowu widziała, że ktoś zerwał ogłoszenie. Przecież szukanie zaginionego zwierzęcia, rozwieszanie ogłoszeń zabiera dużo cennego czasu, który mogłaby poświęcić innym zwierzętom...

Wielu ludzi zdaje się nie rozumieć, że już samo zaginięcie ukochanego zwierzęcia jest dla jego właściciela ogromnym stresem, a tu musi jeszcze walczyć z nieżyciowymi zakazami i nakazami władz i złą wolą różnych decydujących co wolno a co nie wolno ludzi, zamiast móc liczyć na struktury społeczne intensyfikujące skuteczność poszukiwań. W roku 1967 dwaj amerykańscy psychiatry Thomas Holmes i Richard Rahe opracowali skalę stresogennych wydarzeń w życiu od 0 do 100 wprowadzając pojęcie stresora, czyli zdarzenia lub bodźca wywołującego poczucie stresu. Istotną pomocą w radzeniu sobie ze stresorami jest poczucie kontroli nad tym, co się dzieje. I odwrotnie, poczucie bezradności pogłębia stres. Długotrwałe poczucie stresu może prowadzić do poważnych chorób, załamania nerwowego, depresji. Na skali Holmesa-Rahe'a umowne 100 punktów to śmierć współmałżonka. Nie wiem czemu nie zaginięcie dziecka? Zaginięcie dziecka jest chyba najbardziej stresogennym wydarzeniem dla dorosłego człowieka. Nawet nie śmierć dziecka a zaginięcie i związany z tym lęk o to, co dzieje się z dzieckiem, jest trudnym do wytrzymania stresem. Ludzie, których dzieci zaginęły i nie znalazły się, są do końca życia obciążeni nieznajdującym ulgi stresem. Na drugim miejscu dałabym śmierć dziecka. Dopiero potem śmierć współmałżonka.

W skali Holmesa-Rahe'a nie ma nigdzie mowy o utracie zwierząt. Tymczasem jeśli jest to utrata przez zaginięcie, czyli nieuchronienie zwierzęcia przed jakimiś nieznanymi może okropnymi przeżyciami, a więc obciążenie poczucia odpowiedzialności a zarazem uczucie żałoby po zwierzęciu, to nie jest to wprawdzie aż tak stresogenne jak zaginięcie dziecka, ale na skali stresów stoi też bardzo wysoko. Żeby się o tym przekonać, wystarczy poczytać na odpowiednich forach relacje ludzi, których zwierzęta zaginęły. Nie wolno tego lekceważyć! Stres to stres. Powoduje lawinowy spadek sił życiowych. Zaginięcie dziecka to wielkie nieszczęście, zaginięcie kota czy psa to mniejsze nieszczęście, ale i jedno, i drugie jest nieszczęściem. I dlatego społeczeństwo musi stworzyć odpowiednie struktury wspomagające ludzi również w takich sytuacjach. Spójrzmy, jak robią to w Szwajcarii, mojej drugiej ojczyźnie: Fundacja STMZ - Schweizerische Tiermeldezentrale - Szwajcarska Centrala Meldowania Zwierząt (zaginionych i znalezionych) działa 24 godziny na dobę i jest jedną bazą meldunkową na całą Szwajcarię. Jest to organizacja założona przez Towarzystwo Ochrony Zwierząt "Cztery Łapy (Tierschutzorganisation "Vier Pfoten") i Swiss Alertis AG i wspierana przez organizacje ochrony zwierząt i stowarzyszenia weterynarzy w celu ujednoczenia danych spływających z całej Szwajcarii do jednej centrali co znacznie ułatwia znajdowanie zwierząt przez ich właścicieli. STMZ została sprywatyzowana w roku 2005 i sprofesjonalizowana przez jej obecnych prowadzących. Centrala dysponuje wykazem wszystkich adresów związanych z tematem "zwierzęta domowe". Oto adres jej strony:

<http://www.stmz.ch/de/index.php?lang=de&page=2&pageId=10&title=stmz-schweizerische-tiermeldezentrale-m-eldestelle-tierfund>

I taka baza centralna powinna powstać w Polsce jak najszybciej, bo tylko tak można skutecznie szukać zaginionego zwierzęcia. W przeciwnym razie przeczesuje się - tak jak ja to robię - internet całymi dniami tak jak przeczesuje się ulice a i tak można nie znaleźć swojego zwierzęcia, które może być całkiem blisko a oddane do adopcji przepada (kot po tygodniu, pies po dwóch może być ze Schroniska oddany do adopcji... a potem szukaj wiatru w polu). Temat powinien być koniecznie regularnie poruszany w mediach w tym w najpowszechniejszym medium - telewizji. Zadaniem mediów powinno też być obok uświadamia społeczności o powadze problemu wywieranie nacisku na władze i organizacje (w tym także Kościół!), żeby można było dawać ogłoszenia w najbardziej dogodnych miejscach. Straż Miejska zaś powinna zawrzeć umowę z taką centralną bazą łączącą ludzi z ich zagubionymi zwierzętami podobnie jak zawarła umowę z organizacją poszukującą zaginionych ludzi, ITAKĄ. A już w żadnym razie nie może przeszkadzać. My, obywatele, mamy prawo bronić się przed niemądrymi

przepisami!

I dodam, że póki co warto zrobić sobie Alert Google na hasła: znaleziono kota, psa / zgubiono kota, psa... i tym podobne.

Jeden z właścicieli, który szukał swojej kotki do skutku stworzył taką strategię działania:

Strategia działania:

1. ogłoszenia na słupach: zdjęcie kota, cechy charakterystyczne, kontakt i koniecznie informacja o nagrodzie. Niestety to najlepiej na ludzi działa.
2. Ogłoszenie w schronisku/ach - tym bardziej jeśli jest zachipowany.
3. Ogłoszenia w lecznicach.
4. Ogłoszenia w necie i w prasie lokalnej.
5. Wydarzenie na FB
6. Ogłoszenia w szkołach i przedszkolach. Dzieciaki widzą i słyszą wszystko, myszkują w dziwnych miejscach. Jak będzie info o nagrodzie to nie przegonią i nie rzucą kamieniem, tylko odniosą do domu.

Ogłoszenia warto rozwieszać w promieniu maks. 5 km od domu/mieszkania. Kot najczęściej przerażony nie oddala się za bardzo od domu. Często w pierwszej kolejności znaczy teren, więc jak już minie pierwszy szok i głód każe się ruszyć, może trafić w pobliże.

7. Przekazanie informacji o uciekinierze osobom dokarmiającym koty w okolicy.
8. Latarka, sucha karma w pojemniku i w godzinach 19-21, 24-2, 4-6 przeszukiwanie okolicy. Samo kicanie i grzechotanie karmą może nie wystarczyć. Kot może być zaszyty w jakiś zakamarek i ze strachu się nie odezwie, a można go mijać wiele razy. Ale należy nie odpuszczać i chodzić. Sami zostawiamy swój zapach i kot z czasem może do nas trafić.
9. Można sobie skropić lekko spodnie i buty walerianą. Będziemy mieli kocią procesję za nami, ale może pomiędzy innymi będzie nasz kolo.
10. Koty się przyciągają, więc jak będziemy regularnie w okolicy się pojawiać z karmą i dawać innym, jest cień szansy, że przyprowadzą do koryta naszego zbiega.
11. Pożyczamy (kupujemy) klatkę łapkę i ustawiamy przy domu. Do miski coś, co pachnie intensywnie - mokre. Tańsze karmy są bardziej zapachowe, a nam chodzi, żeby kota zwabić. Warto sobie przypomnieć, o której nasz kot dostawał rano pierwszy posiłek i w tej porze przeszukiwać okolice i wystawiać łapkę.
- 12.... i najważniejsze..... NIE PODDAWAĆ SIĘ!!!!!! przynigdy nie odpuszczać. Nawet po miesiącu niepowodzeń. Moja wetka zna przypadek kota, który wrócił po 2 latach.

Na zdj. Lilly sama i z bratem Billym (Bilusiem) oraz z psem Amosem...